

WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.



TAJEMNICA RODU.

OPOWIADANIE Z DAWNYCH CZASÓW,

przez M.a.

Ostatnie promienie zachodzącego słońca ozłacały szczyty wieżyc starożytnego zamczyska, uczonego jak orle gniazdo u czoła skały wyniosłej, ponad górską malowniczą okolicą i przytulonem do stóp tej skały miasteczkiem. W roztwartem oknie jednej z potężnych wieżyc stał spory wzrostem, ale bardzo jeszcze młody chłopak, i wzrok zapuszczał daleko, daleko, między niebo a góry, jakby pragnąc przeniknąć tajemnicze zawsze dla myślącego ducha przestrzenie. Ubrany był paradnie bardzo, ale zwyczajem ówczesnym tak samo, jak starzy ludzie chodzili ubrani, przytém żupan i kontusz, a nawet podszewki u nich, wszystko, zamiast wesołych barw, używanych wówczas w pospolocie, było na chłopcu tym czarne, jak kir, od stóp do głowy; nawet szablą za dużą trochę tak, że mogła się przydać nie tylko do dzie-

cinnnej zabawki, miała rękojeść bogatą, wprawdzie, ale także czarnęj barwy perłami ozdobioną. Dużą czapkę rogatą z białą kitką, odbijającą tém żało. bniej od czarnego baranka u czarnęj tej czapki, nacisnął chłopak głęboko na uszy, zapewne od górskich wichrów, które rozwiewały mu ciemne bujne włosy i chłodziły policzki, rozpalone widocznie jakimś głębokiem wewnętrznem wzruszeniem, jakby u dorosłego i mocno czującego człowieka. A przecież chłopak ten mógł mieć najwięcej lat dziesięć. Ale ktoby z ludzi doświadczonych spojrzął na tego wyrostka w owęj chwili myśli i zadumy, tenby odgadł natychmiast, że niedługie życie jego musiało w niezwykłych a przykrych ubiedz warunkach,

kiedy ta przedwczesna dojrzałość myśli zdążyła już wypiętnować się na dziecięcą czoło. Czy z wyteżenia wzroku, czy też przedzój może ze wzruszenia, oczy chłopczyny lśniły łzą, której przecież hardość męzka już niby nie dozwalała stończyć się na policzki. Załzawiony a hardy wzrok ten obiegał teraz niknący w cieniach wieczornych krajobraz: góry, wioski, miasto, i czepiał się ze szczególnym żalu wyrazem od-



ległych wieżyc dwóch warownych zamków, których szczyty, mimo oddalenia, jeszcze w słońcu odbłyśkiwały; a nareszcie spuścił chłopiec oczy ku stopom zamczyska, z którego okna poglądał, i patrzył tam smutno na rojące się tłumy ludu wśród zmroku. Były to widocznie pogrzebne orszaki, wysuwające się już z zamku po dopełnionym obrzędzie; orszaki liczne, tak, że wszystkie drogi i błonia, jak okiem zajrzeć, były niemi zasute, jakby cały naród jaki odprowadzał na wieczny spoczynek króla swego. Pomimo wysokości wieżycy, głucho, ciężkie łkania dolatywały z owych tłumów ludu aż do chłopca w oknie, jakby ten, którego pochowano, był także ojcem tego ludu. Lud niósł chorągwie żałobne i płakał gorzko, a to starczyło za używaną wówczas pompę żałobną, za owe konie, kirysy itp. których tu widać nie było na dziedzińcach zamkowych, acz stał jeszcze ludem otoczony wspaniały wóz pogrzebowy, pusty już, z przerzuconym tylko przezeń szkarłatem zamiast zwykłej czarnej aksamitnej opony: znak to, że ten, czyje zwłoki szkarłat ów rakrywał, wylał krew swą za tę ziemię, na której się urodził, i której go teraz na spoczynek oddano. Był to zaś Stanisław Daniłowicz, rodzony wnuk hetmana Żółkiewskiego, a rodzony brat Teofili Sobieskiej, której syn Marek Sobieski stał właśnie i płakał za wujem w oknie Żółkiewskiego zamku, obecnie, roku 1637.

Żółkiew leży w dawném województwie ruskiem, o cztery blisko mile na północ od Lwowa. Dawniej w miejscu tém istniała wieś Winniki, dopiero około roku 1596 hetman polny Stanisław Żółkiewski wybudował warowny zamek w swoich Winnikach, dla obrony granic Rzeczypospolitej; miasteczko przytuliło się natychmiast do murów obronnego zamku, a osadę tę nazwał założyciel od nazwiska swego Żółkwią. Odległy zamek, na którego wieżycę spoglądał z okna młody Marek, był to zamek Oleski, siedziba rodu Daniłowiczów, która po śmierci ukochanego, dzielnego wuja spadała teraz wraz z Żółkwią na Marka i brata jego Jana, tak jak Żółkiew sama przeszła także roku 1623 na Daniłowiczów po zgonie Jana Żółkiewskiego, hetmańskiego syna. Rodzinném gniazdem małego Marka był trzeci zamek, Złoczowski, którego wieże blisko Oleskich ostatnim promykiem słońca polyskiwały. Trzy te zamki, a raczej grody warowne, każdy z miastem powstałym pod jego ochroną i także obwarowanem, zbudowane wszystkie dla obrony granic Rzeczypospolitej przez jej synów, były niedawno w posiadaniu trzech dzielnych rodów, blisko z sobą spokrewnionych i węzłami przyjaźni złączonych. Obecnie jednakże już tylko Marek i jego brat pozostali jedynymi z owych trzech rodów latoroślami i spadkobiercami pod

opieką ojca, pana Jakóba Sobieskiego, wojewody bełzkiego, i matki, pani Teofili Sobieskiej, wojewodzianki ruskiej, córki Jana Daniłowicza i Zofii Żółkiewskiej, hetmańskiej córki.

Wszystkie wspomnienia najmilsze z krótkiego dziecięcego życia Marka odnosiły się do Oleskiego zamku, na którego wieże teraz zapłakanemi oczyma spoglądał. Tam on się urodził, jakkolwiek stałą siedzibą jego rodziców był Złoczowski zamek, tam w Olesku mieszkała ukochana, chociaż starym obyczajem surowa dosyć babunia, wojewodzina ruska, Daniłowiczowa Zofia; tam na każde święto jeździł Marek z rodzicami, tęskniąc naprzód do tych świąt upragnionych, zwyczajnie, jak wszyscy prawie wnukowie w podobnych okolicznościach. A przecież nie babczyne to pieszczoty ciągnęły najbardziej Marka do Oleskiego zamku, pomimo, że kochał babkę serdecznie, to wuj Stanisław Daniłowicz, młody bohater, pociągał tak serce Marka ku sobie.

Wprawdzie wojewodzie ruski, obyczajem ówczesnej znakomitych rodzin młodzieży, nie wiele w domu siedział, i długo wprzód słuchał Marek gawędy matki i babki o ukochanym Stanisławie, zagraniczne odbywającym nauki, zanim ujrzał pięknego wuja uczonego, który po pierwszych uściskach chwycił w ramiona małego synowca i poniośszy go przed ganek, wsadził na konia, na którym sam przyjechał. Marek wprzód nigdy na koniu nie siedział, bo miał kilka latek dopiero; ale od owęj pierwszej lekcji już codziennie wuj uczony, ale o strasznie wojackiej fantazyi, sadzał na koń synka ukochanej siostry Teofili. Więc jakże było nie rozkochać się w takim wuju? Ale wojewodzie Stanisław nie długo mógł bawić z matką i siostrą, i synowca Marka uczyć konnej jazdy i wywijania małą szablą, oczywiście dziecinną i wcale nie ostrą jeszcze.

Młodzież ówczesna nie miała czasu na zabawki, bo Tatarzy, Turcy, Szwedzi i inni nieprzyjaciele na około wołali ją do czynu. Po krótkiej więc ucieśce w Oleskim zamku, nastaly długie, smutne dni, niby wielki post, bo wuj Stanisław pojechał na dwór króla Zygmunta III Wazy, a wkrótce i Władysława IV-go. A jak w smutny post oczekuje się z utęsknieniem wesołych świąt Wielkanocnych, tak samo z utęsknieniem oczekiwał odtąd mały Marek powrotu wuja, ciekawie tylko za każdym gońcem chwytając starszych rozmowy, w których mu imię wuja dźwięczało. Aż nagle wpadł znowu do domu wojewodzie, ale po to tylko, aby chwyciwszy co się dało gotowego grosza z dwóch fortun potężnych, Oleskiej i Żółkiewskiej, uzbroić za ten grosz tysiąc doborowego żołnierza, z którym co następnie dokazywał na

wojnie moskiewskiej, właśnie rozpoczętej w r. 1633 o tём w kilkadziesiąt lat później jeszcze jego towarzysze rozpowiadali. A jednak przez ten krótszy jeszcze niż pierwszy pobyt w domowych progiach, i pomimo zajęcia z uzbrajaniem żołnierza, znalazł czas wuj troskliwy na dalsze Marka kształcenie w bojowej sztuce. Małenki chłopak, zdrowy, krzepki i doskonale uczony, a i we krwi z pradziadów mający chętkę i zdolność do konia i szabli, odbywał już teraz na koniu i z prawdziwą szabelką i ruszniczką wszystkie ruchy wojenne, wespół z owym tysiącem żołnierza, którego wojewoda także uczył bojowej sztuki. Małemu Markowi płonęła zapalem głowa i serce, matka i babka, i wuj sam nawet mieli trochę kłopotu, zanim zdołali mu wyperswadować, że jechać na wojnę z wujem nie może, pomimo, że obroty wojenne umie równie prawie dobrze, jak inni wojewodzicowi żołnierze. A gdy młody wódz odjechał już ze swym oddziałem, matka i babka musiały mieć malca przez kilka dni na oku, i pilnować dobrze, bo wymknąć się chciał z domu za wujem, rachując na to, że z drogi nie odesłałby go już do domu, lecz z sobą na wojnę iść pozwolił.

I znowu tylko wieściami o bohaterskim wuju żywił Marek tęsknotę swoją. Po skończonej jednej wojnie, natychmiast nastąpiła druga, szwedzka. I znowu mienie i zdrowie poniósł na nią wuj Stanisław, teraz już, acz młody, starosta Korsuński, Czehryński i Mostowski. Teraz po Szwedzkiej nastąpiła krótka, jak oka mgnienie, chwilka radości w Oleskim zamku, gdy młody starosta, jak błyskawica przypadł uściskać swoich, zebrać znów grosz, zaciągnąć kilka chorągwi bitnego żołnierza i natychmiast rzucił się z nim przeciw najezdniczemu Tatarstwu. Przez pewien czas częścię, choć krócej jeszcze, ukazywał się młody starosta w Olesku, bo kilka świetnych wypraw zwyciężkich przeciw Tatarstwu nastąpiły jedna po drugiej. A hordy tatarskie, z którymi bojował, były to najdziksze i najokrutniejsze z hord, tak zwane Nogajskie albo Budziackie lub Białogrodzkie, pod wodzą najstraszniejszego z wodzów, imieniem *Kantemir*, co znaczy *Krwawe-żelazo*. W czasie żadnego z tych krótkich wypoczynków starosty między jedną a drugą wyprawą, nie zaniedbywał on dalszego kształcenia Marka, zapowiadawszy mu uroczyste i ostatecznie, że dopiero gdy wujowi konno i pieszo z szablą placu dotrzyma, a rocznemu byczkowi łeb od jednego ciosu zetnie — pójdzie z wujem na Tatarą. Marek po takiej zapowiedzi w pierwszej chwili rozplakał się, ale na uwagę wuja, że rycerze nie powinni płakać, bo płacz serce rozmiękcza, a rękę w drżenie wprawia i niepewną czyni, chłopiec otarł oczy rękawem żupana, i przecież z wiel-

ką matki pociechą uspokoił się w ciągłym na wojnę za wujem wybieraniu, mając już termin spełnienia swych pragnień stanowczo oznaczony. Ale za to ćwiczył się znów Marek bezustannie w robieniu bronią w toczeniu koniem, i wprawianiu ręki, gdy nagle, wierny towarzysz Rzeszowski przywiózł krwawe zwłoki wuja Stanisława... — wszystkie nadzieje i ochota sama do życia pierzchły — świat cały pokrył się kirem żałobnym, i oto widzimy go na wieży Żółkiewskiego zamku, poglądającego zapłakanymi oczyma na wieżę Oleskie, i na pogrzebne orszaki, rozchodzące się z zamku po złożeniu zwłok Stanisława Daniłowicza obok dziada i wuja, Stanisława i Jana Żółkiewskich, na wieczne spoczywanie.

Zmierzchało się, Marek raz jeszcze westchnął, spoglądając na wieżę Oleskie i na wieżę poblizkiego kościoła Żółkiewskiego, gdzie dopiero co spoczęły zwłoki bohaterskiego wojaka; otarłszy łzy rękawem począł zstępować po ciemnych już prawie zupełnie, a licznych schodach z wieży, ku niższemu piętrom zamkowemu. Idąc tak zwolna, Marek wdychał ciężko, rumieniec coraz silniejszy rozpaliał mu zapłakane lica, imię Kantemira wymknęło się kilka razy z ust chłopca zaciśniętych, i nagle dziecko stanęło, a podniósłszy obie ręce ku niebu, wyciągnęło pięść zaciśniętą w stronę Tatarskich legowisk... Za chwilę wchodził Marek do niewielkiej ale wysokiej sklepionej komnaty, o jednem wysokiem bardzo, ale tak wązkim i tak głęboko w grubym murze umieszczonem oknie, że go widać na pozor prawie nie było. Widocznie przy osadzaniu okna tego i pozostawianiu nań otworu, budowniczy myślał nie o tём, aby komnatę oświecić, lecz o tём jedynie, aby niełatwo z zewnątrz wielkie kule z wojennych armat nieprzyjacielskich mogły przez to okno do komnaty trafić, a zaś zamkowym obrońcom przeciwnie, aby łatwo i bezpiecznie było przezeń, czy to ruchy nieprzyjacielskie rozpatrywać, czy też w blizkiem niebezpieczeństwie, umieściwszy rusznice jedna nad drugą, z rusznicy tych do wdzierającego się już do zamku nieprzyjaciela palić. Duża gdańska szafa, pełna ksiąg w porządku ułożonych i papierów w tekach powiązanych, zajmowała całą jedną ścianę; na drugiej w pośrodku wisiał wielki czarny z hebanu krzyż, a klęcznik duży, czarny, zużyty, z księgą ogromną rozwartą, stał pod nim. Trzecią ścianę stanowiła niegłęboka wcale alkowa, raczej framuga, w której mieściło się tylko wązkie a długie łóżko, skórą niedźwiedzią nisko narzucone tak, że widocznie pod tą skórą już tylko garść siana czy słomy znajdować się musiała; nad tём łóżkiem tliła się przed obrazem Matki boskiej Częstochowskiej mała srebrna oliwna lampa, a na około niej na

gołej ścianie wisiały ułożone tak, jak to umiano je wówczas układać, trzy zakrwawione, krwawą rdzą pokryte i potrzaskane, a pogieęte od ciosów zbroice, dwa hełmy rozbite na szczęty, tak, że o jednym zwłaszcza trzeba było domyśleć się tylko, że to hełm był, i dwie rękojeści szabel strzaskanych. Przed tą framugą z obrazem, lampą, zbrojami i łożem, stała patrząc w nie z założonemi i zaciśniętymi na piersi rękoma silnie zbudowana, niezbyt wysoka niewiasta; zaczerwienione płaczem oczy wlepiła w krwawe zbroje, policzki pały jej, jak u małego Marka, zaciśnęła blade usta, i stała tak nieruchoma, jak posąg pogrążona w głębokiem duszy wzruszeniu, oblana krwawą łuną ogromnej kłody, płonącej na obszernym kominie przy czwartej ścianie komnaty, w pobliżu stołu z papierami nakrytego makatą, z wysokiem skórą obitą krzesłem obok. Wstąpiwszy do tej komnaty, Marek zatrzymał się nieruchomy u drzwi, jakby w świątyni jakiej, nie śmiąc się ruszyć. Ale pomimo, że szedł cicho, przecież niewiasta przed framugą, jakkolwiek mocno własnem cierpieniem i myślami zajęta, dosłyszała jego wejście natychmiast; oczywiście była to pani zamku, matka rodu, której żaden ból nie uwalniał od obowiązków czuwania. Spojrzała ku drzwiom, i rzekła cichym, głuchym, jak z pod ziemi wychodzącym głosem:

— Pojdz, synu!

Marek przystąpił do matki.

— Kto nosił zbroję tę w pośrodku ściany, rozbitą, o nagolenniku strzaskanym, do której hełmu brak?... — spytała zwolna, zawsze tym samym, jak z grobu wydobywającym się głosem matka. A syn odpowiedział jak echo matczynego głosu;

— Stanisław Żółkiewski, Kanclerz i wielki Hetman, pradziad mój; po życiu przewalczonem za wiarę i Rzeczpospolitą, pomówiony przez panów braci szlachtę o zbytnią ostrożność, pod Cecorą wylał krew roku 1620 rękę i głowę odrąbaną miał przez pogan, Turków i Tatarów, pod wodzą sułtana Gałgi, Skinder-baszy i Kantemira zgnieciony. Głowę hetmańską, w Stambule zawieszoną, dopiero 1523 r. podoławszy wykupić, sprowadziła i pochowała prababka Regina, pana hetmana wierna małżonka. Idąc pod Cecorę, wiedział pan hetman jawnie los swój. Tułów ranami okryty pozostawiony na pobojowisku po stariej ranie pod kolanem, z dawnego strzaskania pod Rewlem.

Po chwili milczenia, która nastąpiła po tej odpowiedzi Marka, widocznie umyślnie ułożonej jak najkrótsze wyrazy do częstego powtarzania jak pacierz, matka Sobieska pytała znowu:

— Kto nosił zbroję tę na prawo? — Marek zawsze jak echo głosu jej odpowiadał:

— Żółkiewski Jan, dziad mój wujeczny, matki miłościwej mojej wuj, w młodzieńczym wieku, wśród gotowania się do pomsty na pogaństwie ostateczną ku jego zagładzie wyprawą na Krym, z ran pod Cecorą, od pogan otrzymanych, w Warszawie zmarły.

— Kto nosił tę trzecią zbroję? — pytała znowu matka.

— Daniłowicz Stanisław, mój wuj! — wykrzyknął Marek, i padając na kolana przed świeżo zawieszoną, ale już zardzewiałą krwawą zbroją, wybuchnął długo wstrzymywanym gwałtownym płaczem. Przez chwilę łkania tylko rozdzierające słyhać było w komnacie, aż Teofila Sobieska położyła rękę na ramieniu klęczącego i szarpanego łkaniami syna.

— Słuchaj! — rzekła. Mały Marek wysiłkiem męskiej woli stłumił ból duszy i zamilkł posłuszny, jak dzielny karny żołnierz na rozkaz wodza; podniósł głowę, nie wstając z klęczek, i słuchał w milczeniu; Sobieska mówiła:

— Tę zbroję nosił twój wuj Stanisław Daniłowicz z Oleska, spadkobierca po Żółkiewskich Żółkwi i obrony krzyża i Rzeczypospolitej od pogaństwa! Po krótkim życiu, pełnem chlubnych bojów, wzięty krwią opływający w niewolę, i podle zamordowany przez pogan w namiocie Kantemira!

— Ha! Kantemir! — zakrzyknął chłopak, zrywając się z kolan, z ręką na szabli...

— Teraz, dziś, Żółkiew i Olesko i prawo pierwszeństwa w obronie krzyża i Rzeczypospolitej na ciebie spada! Czy przyrzeczesz mi je dopełnić? — pytała matka ciągle głuchym swym rozbitym głosem, jak porozbijane były zbroje i hełmy przed jej oczyma.

— Przysięgam! — zawołał Marek, wyciągając obie ręce ku zbrojom i padłszy znów na kolana... Teofila Sobieska ukłękła przy nim i rękę mu położywszy na głowie, niema, żarliwą modlitwą ofiarowała niebu przysięgę swego pierworodnego. Głucha cisza panowała w komnacie dwóch Żółkiewskich i Daniłowicza; ogień na kominku dogasał...

— Tak, mości wojewodo, z Oleskiem i Żółkiewką ciężka, acz zaszczytna spuścizna spada na synów waszmości, na starszego Marka zwłaszcza, ponieważ go Pan przywilejem starszeństwa udarował; tą spuścizną jest obowiązek obrony krzyża i kraju od pogan tu w tej stronie, gdzie waszmościów trzy zamki stoją i gdzie najmocniej pogaństwo godzi właśnie. Obowiązek ten, jakiego spełnienia tak szczytne mają waszmości synowie przykłady w dwóch rodach wygasłych krewnych, których kwitnącą niedawno latorośl dziś złożyli-

śmy w grobie Żółkiewskim, z czasem dopiero powoła synów waszmości do czynu, ale teraz pamiętaj waszmość, panie wojewodo, że obowiązek ten święty i na waszmości samego ważne niewymownie nakłada pensum! Smutek smutkiem, żal żalem, a czasu do stracenia niema! Czy pamiętasz o tém, mości wojewodo?!

Takie słowa, o poważném, uroczystém prawie brzmieniu, ozwały się w drugiej komnacie, przyległej do sypialni hetmana, następnie jego syna, a później Stanisława Daniłowicza, w której Sobieska modliła się z synem swoim. Wymawiał zaś słowa te kapłan powagi pełen, siedzący w drugiej tej komnacie naprzeciw wojewody Bełzkiego, przy stole makatą bogatą i białym obrusem nakrytym i zastawionym skromnym, a nietkniętym prawie posiłkiem. Wojewoda zdumiony podniósł głowę, krzyżując ręce na piersiach i rzekł z urazą w głosie:

— Jakto, mości księże Opatowiuszu! waszmość, mój jeszcze przezacny preceptor, waszmość wątpisz, czyli ja pamiętam o obowiązkach moich względem krzyża i Rzeczypospolitej? A kiedyż to ja dałem po sobie poznać, iżem jest z onęj niesfornęj rzeszy panów braci szlachty, której to całe multum hurmem krzyczało na pana Żółkiewskiego za traktat w Buszy, a z której gdy szedł hetman 1620 roku nieledwie sam z krewnymi i adherentami, z swoim i zaciężnym ludem na całą potęgę Atamańską, z której mówię ledwo że kilka tysięcy rąk sięgnęło po misiurki i pancerz, aby na liczne i gorące wyzwanie hetmańskie stanąć pod jego chorągwią?

— Nie o tém rzecz, mości wojewodo, nie to chciałem powiedzieć, co waszmość z moich słów wyrozumiał — odrzekł ksiądz Opatowiusz.

— A o czém? — spytał wojewoda:

— *O wielkim obowiązku, jaki waszmość masz, wychowania synów swoich tak*, aby oni z kolei pojęli z czasem całą ważność onego spadku, jaki wraz z Oleszkiem i Żółkwią na nich spływa — rzekł ksiądz. — Wojewoda popatrzył, pomyślał i rzekł:

— To prawda! Marek ma przeszło dziesięć lat... czas do szkoły.

— Najpóźniej w jedenastu latach! pamiętaj, panie wojewodo! -- przykazał ksiądz dawnemu uczniowi. — Od jedenastego roku najlepsza pora do nauk.

— Będę pamiętał; — rzekł wojewoda — a no w tej chwili inną, a ważną rzecz do spełnienia mam; oto idzie jegomość pan Rzeszowski, przezacny a dozgonny już przyjaciel domu naszego, uczynić nam mający dokładną relacją ostatniej wyprawy i zgonu męczeńskiego jegomości pana starosty Korsuńskiego... — domawiając tych słów, coraz bardziej stłumionym głosem, wojewoda powstał

i w otwarte ramiona przyjął i uściśnął ze łkaniem pana Rzeszowskiego, sługę i przyjaciela domu Daniłowicza, a towarzysza starosty Korsuńskiego Stanisława, którego zwłoki tenże pan Rzeszowski właśnie odwiózł wiernie do grobów ojczystych.

— Siadaj, mnie wielce miłościwy panie a bracie, i daj relacją twoją, gdyśmy już uroczystościom tym żalosnym uczynili koniec, i nie już jeno opłakiwać niepowrotną przeszłość nam przystoi; — powiedział wojewoda, gdy obaj z Rzeszowskim stłumili łkanie. Ksiądz siedział nieporuszony, z głową na dłoni wspartą, zamyślony, nie wiedząc wcale, że mu dwie grube łzy toczyły się po zrysowanej i wychudłej twarzy. Ksiądz Opatowiusz był także i starosty Korsuńskiego w pierwszej jego młodości preceptorem...

— A zaś poprosić trzeba tu jęj miłość, panią wojewodzinę i synów moich — rozkazał wojewoda, wbiegającemu na kłaśnięcie dworskiemu. Wojewodzina i Marek ukazali się natychmiast we drzwiach sypialni hetmańskiej; małego puciołowatego Jana przyprowadził za chwilę dworzanin, zabrano miejsca, i pan Rzeszowski tak mówić począł:

— Wiecie waszmość państwo najlepić, jako jegomość pan starosta, przezacny on rycerz i męczennik, wziął to sobie za cel swego ziemskiego żywota, aby zbrodniczego Kantemira zwojować, krwawego murzę tego, który głównie do klęski Cecorskiej i zgonu pana hetmana i syna hetmańskiego naszego się przyczynił. A też i wszystkie najuboższe chaty nasze tu na okolice wedle tych granic drżały na owo imię Kantemira. Bo nie jest on jako zwykły Tatar, łupieżstwa a niewolnika pragnący, ale jest jako dziki, okrutny zwierz, hyena zwany, albo wilk, a no źle ja mówię, bo i najsroższy zwierz, nasyciwszy swą żądzą, przestaje we krwi ofiar swych się pławić, ale Kantemir nie zna zgoła takiej sytości, jedno w dzień i w noc rozlewać krew chrześcijańską pragnie. Przeciw temu to potworowi powstał obrońca siół i miast naszych, pan starosta Korsuński, jak tylko pokój z Moskwą i Szwecją pozwolił mu na Tatara szablę obrócić. Nastąpiły tandem jedna po drugiej wyprawy nasze pod wodzą pana starosty i z pomocą kozactwa, bo go kozactwo kochało, i wiecie waszmość państwo, że prędko Nogajcy nauczyli się drzeć przed nami, a jęj Daniłowicza rozegrzmiało zwycięztwy aż Krym i Perekop. Szczęśliwe początki podniebny pana starostę do coraz azardowniejszych wypraw, aż przestał wierzyć, żeby mógł przegrać i zebrawszy swoich wojaków, nie wiem sam po której już raz, ruszył z nami w dzikie pola w końcu zeszłego roku. Przypomnijcie sobie waszmość państwo, że przy pożegnaniu wszyscy, kto żyw ze starych ludzi, odradzali mu tę wyprawę. Czyniono

przedstawienia staroście, iż nadzwyczajną pomyślność jego zaczepki pobudziła Tatarów do najgwałtowniejszej zemsty. Państwo sami i pan Marek ten oto prosiliście na ten raz, by nie szedł w pola. Nawet kozactwo radziło mieć się na baczności. A no jakby jakieś fata ciągnęły młodego do naznaczonej mety, niepodobna było odwrócić go od zamysłu. Zaledwo garstka nasza rycerska ujrzała się w dzikich polach, sprawdziły się starych wojaków przy pożegnaniu przestrogi. Zastęp Nogajców pod wodzą Nelszej murzy, Bóg wie ile razy od nas liczniejszy, obskoczył nas. Pan starosta, ani myśląc tracić ducha, próbował kilkakrotnie w różne strony przebić się wstępnym bojem przez Nogajstwo. Ale wprędce przekonaliśmy się wszyscy o niepodobieństwie wstępnego boju. Tedy kozacy zabrali się do odwrotu po swojemu, to jest pieszo, z rusznicami do odstrzeliwania się w rękach, otoczeni dokoła pospianami czyli jak oni zowią „pobatożonemi końmi“. A no pan starosta ani dał sobie mówić o ratowaniu życia tym kozackim sposobem. Zostawił wzywających go ku sobie kozaków, a sam na czele naszego hufcu domowników swoich jeszcze raz z szablą w rękę rzucił się w chmary wroga, z nadzieją przebicia się przezeń. Zawiodła go fortuna; ukochany białonóżka padł pod swoim panem w chwili, gdy sam pan Stanisław ugodzon był ciężko postrzałem. Z wrzaskiem dzikiej radości rzuciło się Nogajstwo na powalonego nieprzyjaciela, kaźden z nas miał całą rzeszę pohaństwa przeciw sobie i tak zabrano pana i nas w jassyr, i odprowadzono do koczowiska, do samego Nelszej murzy. A oto gdybym tam nie był, tobym nigdy nie uwierzył aby ten Nelszej, mimo że Tatar jak i drugi, przecież miał taką ludzką duszę, jako ją ma. Z razu był i on zaciekły, jak drapieżny zwierz w gniewie, ale jak tylko z panem starostą się trochę obył, a rycerskość jego niby poznał, tak już zdawało się prawdziwie jakby ukochał pana starostę, bo w rzeczy okazywał mu więcej niż chrześcijańską przychylność. I ono w owym to czasie miało się już wysłać do waszych Miłościów tu do rodziny wiadomość o niewoli pana starosty i prosić waszmość państwa o przysłanie okupu; wszystko szło dobrze, gdy nagle dowiedział się o panu staroście najwyższy murza Kantemir i rozkazał co duchu oddać go sobie. A już u nich największy ten murza zbrodniczy to jest władca ich życia i śmierci, wszystkiego łupu i własności ich. Tedy z wielkim żalem Nelszej murza oddał pana starostę i nas temu Kantemirowi. Jakaśmy tylko dowiedzieli się o tém, już mówiło się między nami, że źle jest. A zaś gdy za przybyciem naszym do Kantemirowego koczowiska usłyszeliśmy, że na nasze przybycie na-

kazano wielką ucztę, to już pewni byliśmy wszyscy, że nasza ostatnia godzina nadeszła, boć zna się dość obyczaj tatarski i Kantemira obyczaj. Jakoż wśród największej uczy, gdy pożerając one tam swoje surowe mięsiwa, w największym opilstwie byli wszyscy Tatarzy, wprowadzono nas wszystkich ciężko zakutych do owego namiotu Kantemirowego. Spójrzy leżący a pijany Kantemir na pana starostę i zerwie się nagle, pieniać się w szale złości, jakby widok pana starosty o ten szła go przyprawił, i ryknie na syna, miotając całą ogromną swą postacią. „Héj Turtymir, ty! ot gody nam! mścij brata twego, co go Lachy zabili pod Uściem ich, tnij Lacha tego najwyższego ich murzę!... — tnij tnij!.. „Pan starosta okrutnie zakuty patrzył na nich w milczeniu, tak dziwnie spokojnemi oczyma, że m ja oczy swoje odwrócił, nie mogąc tamtych widoku znieść, a Turtymir młody i trzeźwiejszy drżał pod oczyma temi. Więc huknął nań Kantemir znów. Tedy wstał Turtymir drżąc i zbliżył się do pana starosty, podniósł nań żelazo i spuścił je znów, cofając się, a zakrywając swe oczy przed tamtemi. A już co w duszy wielkiej pana starosty działo się, gdy nie w rozgrzaniu a zapale bojowym, lecz chłodnym okiem patrzył na tę śmierć swoją, to sam Bóg jeden wie. Tedy ryknie znów spienion cały rozjuszony Kantemir na syna: „Ha, ty odrodny, precz mi! nie znam cię! nie Kantemira ty krew! i nie brata twego zabitego przez Lachów pod Uściem brat! jeżeli nie rozkosz tobie tego Lacha ciąć, tego węża, który wypuszczon na głowę ludu prawowiernego jest!

Więc Turtymir strwożony rykiem takim przedko przystąpił i ciał drżącą ręką pana starostę po szyi i cofnął się, a pan starosta padł męcząc się, krwią zlany a żyw, aż dopiero stojący tam koniusz Kantemira książęcy dokonał mordu onego silnym pchnięciem dziryty... Wtędym ja, gdy pan padał, ręce doń skute wyciągnął, nie wiedząc co czynię, ani czym jeszcze żyw; i rzekł śmiejąc się z rykiem, a pianą plwając, Kantemir:

— Rozkuć tam tego psa, a oddać mu ciało węża, kiedy poń ręce wyciąga.

Stało się, jak powiedział, i wyniosłem zwłoki pana starosty ze zbójeckiego namiotu. Przed namiotem zaś stał płacząc Nelszej zacny i odebrał je i schowaliśmy je we dwóch uczciwie. Aż gdy wnet okup nadszedł za mnie, tędym je od Nelszej murzy wziął znowu, i tu jako powinność moja święta była, do ojcowego grobu na wieczny spoczynek przywiozł.

(D. c. n.).

ROK 1532.

Z pod Obertyna wracał Jan z Tarnowa,
 A nad nim sztandar tryumfu wiał,
 W gałązkach dębu jego siwa głowa,
 A w oczach ogień zapału tlał.
 A przed nim szło pięćdziesiąt dział
 I u stóp króla usiadły,
 A za działami zdobyte sztandary
 Pod stopy króla się kładły;
 I z gołą głową wołoskie bojary
 Na twarz przed królem upadły.
 I zstąpił z tronu on król sędziwy,
 Jana do serca przycisnął;
 Sławą narodu dumny, szczęśliwy,
 Łzę rozczulenia zabłysnął.

I kiedy starzec ścisnął starca dłonie męskie,
 Dzwon rozlał po powietrzu swe hymny zwycięskie.
 A naród uchem w duszę wciągał tę pieśń wzniosłą,
 I wzrok mu się rozogniał, i serce mu rośło.

Edmund Wasilewski.

WĘDRÓWKA NA KSIĘŻYC, POGADANKA NAUKOWA.

Nie wyobrażajcie sobie, czytelnicy, że chcemy wam opowiadać jakąś podróż bajeczną, podobną do tych, które z takim talentem tworzy pisarz francuzki, Juliusz Verne. My nie potrzebujemy uciekać się do żadnych baśni, a ponieważ niepodobieństwem jest dostać się na księżyc, więc się tam przeniesiemy tylko myślą, wyobraźnią, opowiemy wam to, co byśmy prawdopodobnie obaczyli, gdybyśmy rzeczywiście mogli tę podróż odbywać.

Patrząc na tarczę księżyca w pełni, nawet bez żadnych szkła powiększających, widzimy na niej wyraźnie plamy jaśniejsze i ciemniejsze; słyszeliście zapewne, że pospólstwo upatruje w nich, to twarz jakiegoś potwora, to Kaina i Abła. Ale przez szkła powiększające, nawet niezbyt silne, widać doskonale, że to są nierówności powierzchni księżyca, góry i doliny. Nie wyobrażajcie sobie jednak, że te góry księżycowe podobne są zupełnie do naszych ziemskich; różnica musi być bardzo znaczna, skoro astronomowie obliczają rozmiary ich czasem na wysokość, a czasem na głębokość. Dziwicie się, nieprawdaż, jakim sposobem góra może być zara-

zem wysoka i głęboka? poprobujemy to wytłómaczyć.

Wyobraźcie sobie kupe gliny, po której robotnicy stąpali i porobili w niej mnóstwo jam, dołów mniejszych i większych, różnych wypukłości; albo ciasto drożdżowe, nieporządnie wyrośnięte w piecu, z mnóstwem dziurek i bąblów; podobnie wygląda tarcza księżyca, widziana przez szkła powiększające. Nierówności, występujące na niej, nie są to właściwie góry, ale głębokie, przepaściste doły, otoczone dokoła niezbyt wysokim rąbkiem wypukłym. Niektóre z nich są ogromne, obwód zagłębienia dochodzi czasem kilkuset kilometrów ¹⁾ a wysokość otaczającego wału, mierzac od dna, przenosi najwyższe wierzchołki gór ziemskich. Oprócz tego mnóstwo tam jest jamek daleko mniejszych, a nawet bardzo małych.

Te góry dziwacznie wydrążone porównywano już nieraz do wulkanów z kraterami; podobieństwo to jednak jest tylko pozorne. Wulkan ziemski, jak wiecie, ma otwór niewielki na wysokości, stożkowatą górę. W tych księżycowych nierównościach, które nawet trudno górami nazywać, jama, mająca krater przedstawiać, jest ogromna, a wypukła obręcz stosunkowo niezbyt wysoka.

Dziś już rysują bardzo dokładnie mapy księżyca, wszystkie góry i doliny mają swoje nazwy, wzięte po większej części od imion znakomitych uczonych, zwłaszcza astronomów; więc jest tam góra Ptolomeusza, Newtona, Kopernika; niektórym znów ponadawano nazwy łańcuchów ziemskich, Karpat, Alp, Apeninów. Rozległe wklęsłości gruntu uważano dawniej za morza, ale później przekonano się, że na księżycu nie mogą istnieć morza, dla tej prostej przyczyny, że tam niema ani kropli wody. Zapytacie może, jakim sposobem dowiedziano się o tém? posłuchajcie. Wiemy dobrze, iż woda nie może się utrzymać w stanie ciekłym bez powietrza. Jeżeli się umieści naczynie z wodą w dzwonie szklanym, z którego wyciągnięto powietrze za pomocą pompy, woda natychmiast gwałtownie się zaczyna gotować bez ognia i wszystka wyparowuje, mgłą zapełniając dzwon, bo nie może się z niego wydobyć. Gdyby atmosfera, powietrzna, nie przyciskała wody na ziemi, wszystka by uleciała w przestrzeń niebieską pod postacią pary, zbiorniki oceanów i mórz wypróżniłyby się zupełnie.

Tymczasem uczeni mają na to niezaprzeczone dowody, że na księżycu atmosfery niema, oni dopatrzyliby jej niezawodnie w swoich wydoskonalonych przyrządach. Ztąd wniosek prosty, że niema także i wody. Widzicie więc, że gdybyśmy

¹⁾ Kilometr, miara francuzka, tysiąc metrów.

nawet jakim czarodziejskim balonem zdołali zjechać na księżyc, nie wielebyśmy na tém zyskali, bo człowiek nie mógłby tam oddychać bez powietrza.

Ale wyobraźmy sobie, żeśmy tę trudność przezwyciężyli, że mamy jakiś dowcipny przyrząd, zaopatrzony w powietrze do oddychania i przechadzamy się swobodnie w tej próżni. Brak atmosfery na księżycu pociąga za sobą różne osobliwe skutki i na każdym kroku spotykałyby nas niespodzianki. I tak: gdybyśmy chcieli przemówić, niktby nie usłyszał naszego głosu. Ba! nawet wystrzał armatni, grom najstraszliwszy, nie zdołałby tam najlżejszego szelestu wywołać wśród ustawicznej, głębokiej ciszy, gdyż głos powstaje w skutek drgań powietrza i za pośrednictwem tegoż powietrza dochodzi do uszu naszych. Łatwo się o tém przekonać, ustawiając zegar bijący w dzwonie, z którego pompka wyciąga powietrze. Zegar bije coraz słabiej w miarę rozrzedzenia powietrza, nakoniec ucicha zupełnie.

Widok krajobrazów księżycowych musi być nadzwyczaj dziwny. Zamiast pięknego, szafirowego sklepienia, tam unosi się w dali jakaś czarna, niezgłębiona otchłań; prawda i to, że tam wszystkie dni i nocy są pogodne, żadna chmurka, żaden wietrzyk nie zamąci martwego spokoju, gwiazdy nigdy nie gasną, nawet wśród dnia; ciekawa rzecz, jak wygląda słońce wśród tego licznego gwiazd orszaku? U nas na ziemi powietrze tworzy sklepienie niebios, powietrze także rozprasa i przesiewa promienie słoneczne tak, że jasność ta, wszędzie łagodnie rozlana, pochłania blask gwiazd. Na księżycu słońce oświeca tylko te miejsca, na które promienie jego padają, w cieniu już nic dopatrzyć niepodobna. Darmobyśmy tam szukali tej cudnej gry światła, która tyle uroku nadaje rankom i wieczorom, tam niema ani mroku, ani świtu, niema nawet barw żadnych, wszystko jest olśniewająco białe, lub czarne, jak sadza. Bieleją wierzchołki wyżyn, skąpane w słonecznych promieniach, dziko odbijają od nich czarne, przepaściste głębiny. I z ciepłem dzieje się toż samo; wszędzie, gdzie padnie promień słońca, jest żar palący, a w cieniu chłód straszliwy.

Od tych wszystkich niedogodności chroni nas na ziemi otaczająca ją atmosfera. Powietrze pochłania część promieni słonecznych, ale my na tém nic nie tracimy, owszem zyskujemy nawet dużo, bo powietrze, zatrzymując w sobie światło i ciepło, całe się niém przejmując, rozlewa je dokoła, oświeca i ogrzewa wszystkie ciała, na które promienie wprost nie padają. Promienie światła, przechodząc w kierunku ukośnym przez ciała przezroczyste, załamują się i wyginają nieco, w rzadszych ciałach

mniej, w gęstszych więcej. Powietrze ma także tę własność załamywania promieni. Ale oprócz tego w pewnych warunkach te załamane promienie się rozczepiają, to jest rozdzielają, gdyż białe promienie jest wiązką promieni różnobarwnych, z tych zaś każdy odmiennie nieco się wygina, czerwony najmniej, najwięcej fioletowy. W tęczy ukazuje się najwyraźniej światło rozszczepione w kropelkach wody, każdy promień, inaczej załamany, w odmiennym kierunku wpada nam do oka i każdy widzimy osobno. Ale na księżycu, gdzie powietrza niema, promienie ani się załamują, ani rozszczepiają. Łatwo sobie wyobrazić, jak tam wszystko ponuro i jednostajnie wygląda. Trudno przypuścić, aby mogły istnieć jakieś istoty żyjące wśród takich warunków, to też wszyscy uczeni wyobrażają sobie księżyc, jako krainę wiecznej ciszy i martwoty, bez ruchu, bez życia, pokrytą zgłiszczami i szczątkami jakichś dawnych przewrotów.

Ale uczeni nie poprzestają na obecnej chwili, dla nich nie dosyć wiedzieć, jak księżyc teraz wygląda, chcą oni dojść, dla czego tak wygląda i zkąd się wzięły na jego powierzchni te dziwaczne góry wydrążone. Musiały się tam niegdyś odbywać wybuchy gwałtowne, nie podobne jednak do naszych wulkanów, bo całkiem inne ślady pozostawiły po sobie. Księżyc, tak samo, jak ziemia i wszystkie inne planety, musiał być niegdyś ogromną kroplą roztopionego płynu, zawieszoną w powietrzu i utrzymującą się w równowadze w skutek swych ruchów. Kropla ta wirowała naokoło swjej osi i krążyła naokoło ziemi tak, jak ziemia wiruje i krąży naokoło słońca. Wszak słyszeliście o tém zapewne, że przyciąganie księżyca jest przyczyną przypływów i odpływów morskich. Twarda skorupa ziemi nie ulega tej sile, ale woda wydyma się i podnosi, ile razy w skutek obrotu ziemi powierzchnia morza zwróci się do księżyca. Ziemia, daleko większa od księżyca, musi nań działać o wiele silniej, tu jednak ta ogromna zachodzi różnica, że ziemia zawsze jednostajnie przyciąga powierzchnią księżycową, bo on jedną tylko połowę zwrócony jest do niej, obrót wirowy i obrót naokoło ziemi odbywa w tym samym przeciągu czasu. Dziś więc, gdyby nawet były morza na księżycu, nie mogłoby tam być kolejnych przypływów i odpływów, a powierzchnia wód byłaby ciągle jednostajnie wydęta i podniesiona. Uczeni jednak utrzymują, że dawniej było inaczej; księżyc wirował szybko, a roztopiona jego masa ulegała gwałtownym ruchom, w miarę jak powierzchnia się zwracała lub odwracała od ziemi. Gdy masa ta zaczęła stygnąć i utworzyła się z wierzchu skorupa, ruchy te ustawicznie ją rozrywały, a co więcej przyciąganie ziemi usiłowało

księżyc w biegu powstrzymać; wywiązała się ztąd straszliwa walka, zastygła skorupa księżyca przygniatała roztopione wnętrze, ono często pokony-

wało ten opór i wybuchało do góry, a gdy nastąpił odpływ po przypływie, masa cofała się w głąb i powstawała ztąd głęboka jama. Przewroty te



ZAMOJSKA

S R O K O S Z.

musiały trwać bardzo długo, poorały i porozrywały straszliwie powierzchnią księżyca, a ziemia tymczasem ciągle przyciąganiem swém obrót jego wirowy powstrzymywała i skończyło się na tém, że

księżyc, opóźniając się stopniowo, zupełnie się poddał tej sile i pokonany, przykutą jedną stroną do ziemi, uspokoił się, zastygł i zamarł na zawsze. Uczni utrzymują, że połowa do nas zwrócona jest

znacznie wydęta, gdyż ciągle ulega sile przyciągania ziemi. O drugiej połowie nie mamy żadnego wyobrażenia, bo jest dla nas niewidzialna.

Takie są przypuszczenia niektórych astronomów. Inni znów odmiennie objaśniają dziwaczne podziurawienie księżyca. Wszak wiecie, co to są aerolity, spadające kamienie? W roku zeszłym opowiadaliśmy wam o nich obszernie. Nie ulega wątpliwości, że niezliczone mnóstwo tych brył większych i mniejszych krąży w przestrzeniach niebieskich, a ile razy która się przybliży, czy to do słońca czy do planety jakiej, zaraz przyciągnięta spada na nią z wielką szybkością. Ziemia otoczona jest atmosferą i taki aerolit, spadając na ziemię, przeciskać się musi przez powietrze, a ocierając się o cząsteczki gazów zapala się, często nawet topi całkowicie. W każdym razie opór powietrza znacznie gwałtowność biegu aerolitów powstrzymuje, nie mogą więc zbyt wielkich szkód na ziemi wyrządzić. Inaczej się rzeczy mają na księżycu, gdzie powietrza niema. Tam aerolit z nadwyzczajną siłą i gwałtownością spada, a uderzając o powierzchnię księżycową, rozpala się, topi twarłą skałę i powstaje ztąd dziwny wybuch zewnętrzny. Któż wie, czy liczne otwory i podziurawienia księżyca nie powstały w skutek takiego bombardowania aerolitów?

Macie więc drugie przypuszczenie. Żadnego z nich jednak nie możemy wam podać za twierdzenie pewne i dowiedzione. W nauce mnóstwo jest takich wątpliwości na każdym kroku, nieraz już wspominaliśmy wam o tém.

SROKOSZ.

Srokosz, czyli wielka dzierzba, jest jednym z najdrapieżniejszych ptaków. Chwyta i pożera, nie tylko owady, ale drobniejsze ptactwo i myszy. Ma przytém taki zwyczaj, że gdy głód zaspokoi, zostawia sobie zapasy żywności na później i zatyka owady, żabki i inne drobne zwierzątka na ciernistych drzewach. Rysunek nasz przedstawia taką spiżarnię srokosza. Ptak ten przebywa wszędzie w umiarkowanych strefach, w Europie, w Azji i Ameryce. Naturaliści powiadają, że drapieżnik ten często naśladuje głosy różnych małych ptaszków, zapewne dla tego, ażeby je przyciągnąć i w szpony swoje pochwycić. Srokosz, trzymany w klatce, przyswaja się bardzo łatwo, zajada ze smakiem mięso i przyśpiewuje dość przyjemnie, ale nie można go wpuszczać tam, gdzie są kanarki, bo je niechętnie dusi i pożera.

WYPRAWA

PO SKARBY UKRYTE WSRÓD PUSZCZY.

Przygody podróżników w Australii.

(Dalszy ciąg).

Teraz już śmieliej zaczynam rozdawać lekarstwo wszystkim chorym z równie pomyslnym skutkiem. Gdy cała gromadka nasza przyszła do przytomności i pozbyła się dotkliwych cierpień, przedstawiłem towarzyssom położenie nasze obecne, niebezpieczeństwo grożące ze strony dzikich krajowców, którzy niezawodnie czatują gdzieś niedaleko i jak tylko się ściemni spadną tu na nas, jak stado drapieżnych sępów. Nie przyszło im pewnie do głowy, że możemy znaleźć bob kalabarski i liczą na zabójcze skutki trucizny.

Zajęliśmy się także kuracją biednych naszych zwierząt; na nieszczęście rozdręby nie mogą nam dostarczyć dostatecznej ilości wody, chociaż wysączyliśmy z tych szacownych korzeni parę nie wielkich wiader. Obawiamy się szukać innego źródła w lesie, bo już się ściemnia, a wśród tego labiryntu drzew, bumerang lub włócznia łatwo którego z nas dosięgnąć może. Szykujemy się na nocleg, ustawiamy wozy w kształcie krzyża, sadowimy się na nich, jakby w twierdzy, i na wszystkie cztery strony będziemy mogli się bronić. Konie i psy są pouwiązywane do drzew. Biedne moje pieski nie mogą jeszcze przyjść do siebie, wyją żałośnie, serce mi się kraje, a nie mam już na to żadnej rady, musimy czekać dnia. Czterech ludzi najsilniejszych i najzdrowszych stoi na straży z bronią w ręku na czterech rogach naszej fortecy.

Po samym środku, w miejscu najbezpieczniejszym, umieściliśmy miss Maryą. Młoda dziewczyna zupełnie przyszła do siebie po wypiciu dwóch łyżek mego lekarstwa. Teraz dopiero zrozumiała dokładnie, jak strasznój zbrodni staliśmy się wszyscy ofiarą. Cóż to za serce nieoszacowane, pełne chrześcijańskiego miłosierdzia! zamiast oburzać się niewdzięcznością tych czarnych potworów, ona się nad nimi lituje, stara się mnie przekonać, że oni nie wiedzą co czynią, prosi o przebaczenie dla nich.

— Biedni ludzie — powiada ta anielska dusza — to głód i niedostatek skłania ich do tego. Cóż winni ci nieszczęśliwi, że ich nikt nie oświecił, nie rozwinął w nich żadnego poczucia miłości bliźniego. Powinniśmy im przebaczyć i litować się nad nimi.

— Ależ, moja droga miss, czyż podobna lito-

wać się nad tygrysem lub wilkiem, który nas z głodu chce pożreć?

— To co innego, mój panie. Musimy bronić się od napaści drapieżnych zwierząt, bo nie możemy zmienić ich dzikich instynktów, ale wszyscy ludzie są braćmi naszymi i powinniśmy wszelkich starań dokładać, aby ich oświecać i nawracać. Wiem dobrze, że misjonarze chrześcijańscy nawet i na tych dzikich Australczyków wpływają bardzo korzystnie dobrocią i łagodnością. Osadnicy zaś po większej części złem i okrutnem postępowaniem drażnią ich i pobudzają do nienawiści. Gdyby Europejczycy zawsze się z nimi obchodzili po ludzku i oni pewnieby się zmienili.

— Zgadnam się na to zupełnie, kochana miss, to też przyjęliśmy ich bardzo gościnnie, nakarmiliśmy i obdarzyli, gdy nam nie czynili krzywdy. Ale teraz, pomimo całego miłosierdzia, jakie w duszy czujemy dla nich, musimy się bronić, jak-gdybyśmy mieli do czynienia z drapieżnymi zwierzętami. Nie mamy przecież prawa poświęcać życia dla zaspokojenia żarłocstwa tych bydła.

— Ja też tego nie wymagam — mówiła młoda dziewczyna — ale ponieważ dowództwo, jak widzę, jest teraz w pańskich rękach, daj mi pan słowo, że nie będziesz się mścił na nich, jeżeli nas nie napadną.

— Przrzekam to pani jaknajsołenniej. Niech tylko nas zostawią w spokoju, a gotów jestem nawet im przebaczyć, żeby pani dogodzić.

— Ale nie, nie, ja chcę, żebyś pan przebaczył z przekonania.

— Dobrze, dobrze, kogożby ta wymowa nie przekonała — i mówiąc to odprowadziłem młodą miss do jej sypialni na środkowym wozie, gdzie czekała na nią wierna Kelly. Po obu stronach tego wozu ułożyli się dwaj olbrzymi, Cyryl i Kana-dyjczyk. Młoda nasza miss jest dobrze strzeżona.

— Dobranoc panu.

— Dobranoc miss.

Oby to życzenie się spełniło! Noc zapadła, cisza głęboka zaległa nasz obóz, oprócz cte-rech ludzi, czuwających na straży, wszyscy są we śnie pogrążeni. Ja jeden oka zmrużyć nie mogę, dziwny niepokój mię dręczy, zdaje mi się, że sen moich towarzyszy jest zbyt ciężki, chwilami rzucają się, jakby w gorączce. Skutki trucizny zapewne nie zupełnie przezwyciężone zostały, w razie napaści któż wie, czy się z łatwością przebudzą. O, cóżbym dał za to, żeby już noc przeminęła, żebyśmy mogli ująć jaknajśpieszniej przed pogonią dzikich naszych prześladowców. Ale do rana jeszcze daleko, gwiazdy migocą na niebie, położenie ich wskazuje, że niezadługo będzie dopiero północ. Znużenie jednak przemaga niepokój, wszystko mi się w oczach dwoi... gwiazdy tańczą, drzewa wy-

dłużają się i sięgają aż do nieba... coraz ciemniej, coraz ciszej... zasypiam...

Wtém nagle przebudza mię blask i wystrzał nad samém uchém. Do bron! do bron! woła głos donośny, odpowiadają mu dzikie okrzyki, to znane hasło Australczyków: *koo — moo — koo — ee* — To oni, przecucia moje się sprawdziły! Widzę wyraźnie wśród nocnych cieni, przy migotliwym blasku gwiazd, gromadkę wstrętnych postaci; w dzikich podskokach zbliżają się do nas, powtarzają swój okrzyk szalony. Przebac mi, anielska miss Maryo, ale nie wytrzymam i potraktuję ich wszystkimi kulkami z mojego rewolweru. Wrzask i hałas się wzmaga, strzały padają jeden za drugim z naszej strony, włócznie i bumerangi latają w powietrzu, ale niestety! spostrzegam z przerażeniem, że połowa zaledwie naszej gromadki jest na nogach, reszta kamiennym snem uspiona. Przewidywałem to, działanie trucizny nie ustąpiło jeszcze zupełnie, odurzenie nie przeminęło!

Każdy z nas ma do zwalczenia najmniej dwudziestu przeciwników. Walka ta byłaby niemożliwa, gdyby nie to, że wszyscy jesteśmy dobrze uzbrojeni. Huk wystrzałów, przeraźliwe krzyki, przebudzają наконец i resztę naszych towarzyszy ze snu letargicznego, oni także chwytają za broń i dzielnie odpierają napastników. Australczycy padają jak muchy, a jednak nie odstępują, liczba ich wzrasta ciągle, jakgdyby nowi napastnicy wyrastali z pod ziemi, ta tłuszcza nie łatwo się rzeknie upatrzonęj zdobyczy, nasz obóz rozbudził w niej straszną chciwość.

Zwycięstwo chwiać się zaczyna, już dzicy oblegają wozy, już widzimy tuż przed sobą szatańskie ich twarze, woń obrzydliwa wstrętem nas przejmuje, czyż podobna, o Boże! abyśmy mieli paść ofiarą tej trzody bydła, która chce się napaść nami? Czyliż tak marnie zginąć mamy w tej puszczy? Wtém nagle głos donośny się odzywa, górując nad ogłuszającą wrzawą:

— Schylcie się wszyscy! plackiem na ziemię!

Ledwośmy usłuchali tego rozkazu, gdy nagle blask wielki oświecił na jedno mgnienie oka plac bitwy i niezliczone strzały jednocześnie przebiły powietrze, grad kul przeleciał ponad głowami naszymi, a dzicy z wściekłym wrzaskiem trwogi i nienawiści zaczęli się cofać w popłochu. Jesteśmy uratowani! Tokartaczownica sprawiła się tak dzielnie. Raz jeszcze słyszymy hasło dzikich, którzy nawołują się po lesie, teraz już do odwrotu, nareszcie cisza nastała dokoła, możemy odetchnąć swobodnie.

Zaczynamy oglądać plac boju, nie obeszło się i z naszej strony bez szkód dotkliwych, kilku ludzi odniosło ciężkie rany, ale wszyscy są przy życiu

i po pierwszym opatrunku usypiają spokojnie. Dowiadujemy się, że to dwaj młodzieńcy, Ryszard i Edward, nabili kartaczońnicę i rozstrzygnęli losy wojny; otaczamy ich wszyscy, winszując i składając gorące dziękczynienia.

Ale gdzież jest major i sędziwy sir Reed? gdzie porucznik Robarts i wierny mój Cyryl? W pierwszej chwili myśleliśmy tylko o rannych, a ich pomiędzy rannymi nie było; któż wie, może niedopatrzyliśmy ich wśród ciemności, dreszcz mię przejmuję na myśl, że możemy ich znaleźć pomiędzy trupami! Wołam na Toma, aby co prędzej zapalał pochodnie, musimy starannie obejrzeć plac boju.

— Pocóż nam światło—mowi Crowly—wszakże i tak doskonale widać wszystko, prawie tak, jak w dzień.

— Jakto, widzisz pan teraz, wśród ciemności?

— Najdrobniejszy przedmiot rozpoznaję.

— Ale i ja także widzę bardzo dobrze — odzywa się młody Edward Reed — noc jest dziś niezwykle jasna.

— Masz słusność — potwierdza brat jego Ryszard. Cóż to ma znaczyć? W dzień żaden z nich patrzeć nie mógł, zasłaniał oczy przed światłem, a teraz znów widzą w nocy, jak sowy, lub koty?

— Stryju, majorze, gdzie jesteście? — wołają młodzieńcy.

— Gdzie jesteś, Cyrylu, poruczniku, gdzie jesteś! — jęk głuchy mi odpowiada, biegnę w tę stronę, spotykam się i padam na kolana, przedemną leżą dwa ciała, nie dające najmniejszego znaku życia. Dotykam rąk ich i twarzy, czuję, że krew broczy moje dłonie, poznaję ich, to porucznik Robarts i pocciwy mój Cyryl! Obaj padli tuż obok wozu, na którym umieściliśmy miss Maryą i służącą jęj, młodą Kelly. Dokoła leżą trupy Australczyków, straszliwa walka musiała się tu stoczyć, nim dzielni zapaśnicy ulegli przemagającej sile. Zapalam pochodnię, bo nie mam kocich oczu, jak moi towarzysze, opatruję dwóch rannych, jeden i drugi ma głowę głęboko rozciętą z tyłu, szczęściem bez uszkodzenia czaszki, niema żadnego niebezpieczeństwa, omdlenie nastąpiło w skutek wielkiej utraty krwi. Wlewam każdemu w gardło parę kropel rumu, co im natychmiast przytomność przywraca. Porucznik Robarts zrywa się na równe nogi, wołając w niebogłosy:

— Miss Marya! co się stało z miss Maryą!

Na te słowa młody Edward jednym susem wskakuje na wóz, gdzie siostra jego do snu się ułożyła i w tejże samej chwili słyszymy okrzyk przerażającej boleści:

— Siostra moja! Marya! niema jęj na wozie!

Darmo także szukamy majora i Sir Reeda,

niema ich ani na wozach, ani na placu bitwy, Kelly znikła wraz ze swoją panią, brakuje też olbrzymiego Kanadyjczyka i Niemca Szäffera. Niema wątpliwości, wszystkich porwać musieli dzicy Australczycy i powlekli ich z sobą w głąb lasu! A myśmy się cieszyli zwycięstwem, nie przeczuwając nawet tak straszego nieszczęścia!

VIII.

Potyczka z Australczykami. — Pożar lasu. — Taniec kościotrupów. — Przerwana uczta. — Nierówna walka.

To straszliwe odkrycie w pierwszej chwili wszystkim nam przytomność odebrało. W obozie powstał zamęt nie do opisania, zewsząd słyhać tylko wykrzykniki rozpaczy i gniewu, każdy radby biedz na ratunek porwanych, każdy podaje plany wyprawy, niepodobne do wykonania. Jeden tylko sir Edward, młody oficer marynarki, brat starszy miss Maryi, nie stracił głowy i pomimo całej boleści, która mu serce rozdziera, z zimną krwią obmyśla środki niesienia porwanym skutecznej pomocy. W tej chwili, gdy tak okropne nieszczęście na niego spadło, siła charakteru i energia tego dzielnego młodzieńca okazała się w całej pełni. Wszyscy też pojęli odrazu, że w nim teraz należało całą ufność położyć i poddać się jego rozkazom.

— Panowie — rzecze sir Edward, głosem pewnym i spokojnym — wszyscy pragniemy puścić się jaknajśpieszniej w pogoń za tymi zbójcami i wyrwać z rąk ich drogie nam ofiary. Ażeby to przedsięwzięcie z powodzeniem doprowadzić do skutku, musimy działać z największą ostrożnością i roztropnością. Gdybym szedł ślepo za głosem serca, nie zwlekałbym ani jednej chwili, ale rozsądek każe mi postępować inaczej. Nie możemy wszyscy razem wyruszyć, obóz więc pozostanie w tém miejscu i ja sam strzedz go będę. Kochany panie — dodał, zwracając się do mnie — pocciwy pies pański, Mirador, ma instynkt i roztropność zadziwiająca, przez czas naszej podróży przywiązał się nadzwyczajnie do mojej siostry, która go pieściła i karmiła łakociami. Czy sądzisz pan, że wierne to zwierzę potrafi doprowadzić pana do miejsca, gdzie ci barbarzyńcy zawlekli nieszczęśliwą Maryą?

— Jestem tego pewny, sir Edwardzie — odrzekłem — mój pies jest z gatunku ogarów, wybornie umie trop wyśledzić, a ma przytém tę cnotę, że nigdy nie czeka, gdy mu się uda zwietrzyć zdobywcę. Daj mi pan tylko jakikolwiek przedmiot, należący do miss Maryi, a jak tylko go powącha, niezawodnie doprowadzi nas prosto na miejsce.

— A więc dobrze. Teraz ty, drogi przyjacielu — rzekł odwracając się do porucznika Robart-

sa — powiedz otwarcie, czy czujesz się dość silnym, abyś mógł towarzyszyć panu B?

— Zdrow jestem zupełnie i gotów na wszystko — odparł porucznik, podnosząc strzelbę wyzywającym ruchem. Chociaż był jeszcze blady i głowę miał chustką obwiązaną, znać było, że już zupełnie do sił powrócił.

— Towarzysz pański Cyryl jest roztropny i odważny; radbym, abyście go także z sobą zabrali — rzekł do mnie sir Edward.

— Miałem właśnie sam o to prosić — odezwał się Cyryl, który słuchał uważnie tej rozmowy — dziękuję panu bardzo, panie Edwardzie, za ten dowód zaufania. O, nie zawiedziesz się pan na nas, sprawimy się dobrze i wyrwiemy ze szponów tych przeklętych łotrów nasze miłe panienki, uratuję je, albo sam zginę z niemi, tak mi Panie Boże dopomóż.

— A więc idźcie w imie Boże — rzekł sir Edward — zabierajcie też z sobą starego Toma i jeszcze ze dwóch ludzi z pomiędzy najsilniejszych. Gdy pies wpadnie na trop, gdy wysledzicie kryjówkę naszych ukochanych więźniów, wracajcie jaknajśpieszniej, a wtenczas niezwłocznie obmyślimy środki ratunku. W razie napadu ze strony dzikich, dajcie nam znać wystrzałem z rewolweru, a pośpieszymy wam na ratunek.

Młody marynarz wszystkie te rozporządzenia wydaje z takim spokojem, z taką zimną krwią, że wszyscy przejęci jesteśmy szacunkiem i uwielbieniem dla niego. Ten człowiek potrafi sobie dać rady na pomoście okrętu w chwili największego niebezpieczeństwa. A nie małe to poświęcenie z jego strony, że sam na chwilową bezczynność się skazuje, wysyłając nas na zwiady. Chociaż musimy postępować z największą ostrożnością, zabieramy jednak z sobą wierzchowce na wszelki przypadek, gdyby dzicy napadli nas z nienacka i zmusili do ucieczki.

Sir Edward każdemu z nas podaje rękę na pożegnanie, a chociaż usiłuje panować nad wzruszeniem, ręka ta jest drżąca i z ust zaciśniętych żaden głos wydobyć się nie może.

Teraz ja obejmuję dowództwo nad małą gromadką, spuszczam ze smyczy Miradora, podaję mu do powąchania gazową zasłonę miss Maryi, pocziwy pies spogląda na mnie tak roztropnie, jak gdyby mi chciał powiedzieć, że doskonale rozumiał, o co idzie. Zawył żałośnie i puszcza się naprzód, nie biegnie jednak, ale co chwila się ogląda, czy idziemy za nim. Porucznik Crowley i młody Ryszard żegnają nas z westchnieniem, oni gorąco pragnęli iść z nami, ale sir Edward ich powstrzymał, muszę więc czekać cierpliwie; niezadługo zapewne działać będziemy wspólnymi siłami, tymcza-

sem ostrożność jest najważniejszym warunkiem powodzenia.

Stąpamy cicho po miękkim kobiercu mchu i trawy, ciemność zaległa dokoła, ja i Tom z trudnością rozróżnić możemy otaczające przedmioty, ale reszta naszych towarzyszy widzi najdokładniej wszystko, wzrok ich nabrał jakiejś niepojętej bystrości, jakby kocie oczy mieli. Już przedtem spostrzeżliśmy to wszyscy, ale w chwili strasznego odkrycia zapomnieliśmy o tém dziwném zjawisku. I teraz jeszcze umysły nasze nie są tak spokojne, abyśmy się nad czémkolwiek mogli zastanowić.

Mirador bieży wciąż naprzód, nie waha się ani na chwilę, teraz i my zaczynamy czuć ślady dzikiej zgrai, wstrętne woń, tak dobrze znana, unosi się w powietrzu. Ale gromada mogła się rozdzielić, więc przywołuję psa i po raz drugi mu pokazuję gazową zasłonę, aby nie zmylił tropu. Minęło tak ze trzy kwadranse, musieliśmy ująć dobrego kawał drogi, zaczynamy się niecierpliwić. Cyryl odkrył pod stopami swojemi ślady końskich kopyt. Dzicy musieli także uprowadzić część naszych koni, ale przerażeni większą klęską, nie spostrzeżliśmy tego. Wielka to jest wygoda widzieć tak dobrze wśród nocy i zazdrościłbym Cyrylowi kociego wzroku, gdybym się nie domyślał, z kąd to pochodzi.

Grunt podnosi się stopniowo; nakoniec Mirador zatrzymuje się na małym wzgórku i głucho warczyć zaczyna. Dzicy muszą być już niedaleko. W rzeczy samej przez gęstwinę drzew spostrzegamy w oddali migające czerwone światelka. Tam wśród lasu musieli nieprzyjaciele nasi rozłożyć swój obóz. Naradzamy się półgłosem, roztropność nakazuje zawracać jaknajprędzej i dać znać towarzyszom, żeśmy odkryli jaskinią łotrów.

A wtém uderza nas widok straszny, niespodziewany! Mirador zrywa się nagle i z głośnem szczeniem puszcza się naprzód, jakby nam chciał dać znać, że pora ostrożności minęła. My także nie namyślamy się długo, wsiadamy na koń i pędem puszczamy się w stronę, z kąd nakształt rac zabłyśły niezliczone płomienie. To nie jest spokojny blak ogniska, to las cały płonie. Niegodziwi chcieli nam drogę zagrozić!

Nie ma czasu do stracenia; rozjaśniło się nagle dokoła, jak w biały dzień, rozdręby mają tkanki napojone żywicią i płoną nakształt łuczywa. Nawet z naszego obozu widać zapewne tę łunę. Kłęby dymu wzbijają się w powietrze, płomienie, jak ogniste węże opasują pnie, gałęzie, rozsypują się iskrami wśród liści, suche drewno skwierczy, pryska, widok to straszny i wspaniały zarazem.

— Za mną, za mną! — woła porucznik Roberts, pędząc przez sam środek płonącego lasu.

Na szczęście drzewa niezbyt gęsto stoją, możemy się przedostać przez to piekło, dzielne rumaki nie zważają na żadne przeszkody, blask ognia wprawia je w odurzenie, pędzą jak szalone przez pnie obalone, przez strumyki, w których się odbija blask ognia, a dzielny Mirador jak strzała leci na przedzie, wskazując nam drogę.

Wreszcie las coraz więcej się przerzedza, wjeżdżamy na łąkę i przy świetle pożaru obejmujemy wzrokiem straszliwe widowisko, słyszymy odgłosy przeraźliwych wrzasków. Ogromna gromada dzikich wykręca się, podskakuje, wydając okrzyki, w których nic ludzkiego niema. Każdy umalowany dziwnie, na czarném cielsku ma białe smugi i gzygaki, które tworzą postać kościotrupa. To jest taniec kościotrupów, wykonywany zwykle przy uroczystościach ludożerczych. Nasz Tom uczestniczył kiedyś przy takiej uczcie, był on ofiarą na śmierć skazaną i pewnie nie sprzyja w tej chwili naszym prześladowcom. Ognisko już rozpalone, a przy niém, na wielkich kijach zatknięte, smażą się kawały mięsa. To nasze konie, które ci niegodziwcy pomordowali; dowódcy przystroili się w ogony, odcięte pocziwym zwierzętom.

Z niewymowném wzruszeniem spostrzegamy więźniów związanych mocnymi sznurami, kilku czarnych szatanów kręci się koło nich z siekierkami kamiennymi, na szczęście przybyliśmy jeszcze w porę. Zgroma dzikich jest ogromna, a nas tylko sześciu, ale na nic nie zważamy, z piersi naszych wyrывa się okrzyk grozy, a niesforna tłuszcza, zdumiona naszym zuchwalstwem, roztępuje się przed nami w popłochu. Mirador zmierza prosto do więźniów, rzuca się zajądło na jednego z dzikich, stojących przy nich na straży, obala go i chwytając go gardłem ostremi zębami, reszta umyka w bok. Wszyscy razem podnosimy broń, sześć strzałów przebija powietrze i sześć trupów pada na ziemię. Bóg widzi, że radziłyśmy tego rozlewu krwi uniknąć, ale musimy ratować przyjaciół, nie możemy tych niewinnych dziewcząt, tych dzielnych mężów, oddać na pastwę ludożerców.

Dzicy ocknęli się prędko z pierwszego popłochu, słyszymy świst bumerangów, koń Roberta, ugodzony w kolano, pochyła się i pada; Cyryl zręcznie unika pocisku, który gruchoce łeb jego wierzchowca, obaj jednakże nie tracą równowagi i stoją znów pod bronią, a celne strzały nie chybają ani razu.

Tymczasem pocziwy Tom nie traci czasu, on pierwszy w ślad za Miradorem dostał się do więźniów i szybkim pociągnięciem noża przeciął krępujące ich sznury z lnu nowozelandzkiego, spłacił więc dług swojemu panu, który go niegdyś z takiegoż samego położenia oswobodził. Przybywa

nam czterech dzielnych zapaśników, braknie im wprawdzie broni, ale chwytają w ręce dzidy poległych Australczyków i wszyscy razem otaczamy dwie kobiety, które z zadziwiającą odwagą i przytomnością umysłu stawiają czoło groźnym wypadkom.

(D. c. n).

ROZMAITOŚCI.

Wyprawa do bieguna.

Wiecie o tém dobrze, młodzi czytelnicy, że nie wszystkie przygody podróżników, których opisujemy dla rozrywki podajemy, są prawdziwe. Autorowi, chcąc was zaciekawić i zająć, a zarazem nauczyć wielu rzeczy pożytecznych, zazwyczaj prawdziwe wiadomości naukowe o dalekich krajach ubarwiają zmyślonemi przygodami. A jednak podróżnicy prawdziwi nieraz przechodzą więcej jeszcze trudów i niebezpieczeństw, i przygody ich równie są zajmujące od tych zmyślonych.

W naszych czasach urządzało się raz po raz kilka wypraw na północ, do krajów podbiegunowych, do samego bieguna jeszcze nikt dotrzeć nie zdołał. Ostatni statek który wyruszył w te strony dwa lata temu, nazywał się *Zaneta*, wysłany był przez kompanię amerykańską. Z początku załoga *Zanety* dawała o sobie wiadomości przez okręty, że glując na morzach północnych, ale potem zaczęła tak daleko, że nie napotykała innych statków i przez czas długi nie było o niej żadnych wieści. Obawiano się, aby jej jakie nieszczęście nie spotkało i wysłano inne okręty na odszukanie zatraconej *Zanety*. Dopiero przy końcu roku zeszłego znaleziono nieszczęśliwych rozbitków w północnej Syberyi, przy ujściu rzeki Leny do morza lodowatego. W jednym z dzienników zagranicznych zamieszczono opis pobytu załogi okrętowej wśród lodów podbiegunowych, przez jednego z rozbitków podany. Sądzymy, że opis ten prawdziwy zajmie was, czytelnicy, niemniej od przygód urojonych. Okręt strzaskany został przez góry lodowe, z pięciu łodzi, na które się osada przesiadła, trzy tylko dobiły do lądu, inne zapewne zginęły.

Dnia 15 Września 1880 r., pisze ów rozbitek ocalony, przybyliśmy do zatoki Kumberland. Średnia temperatura wynosiła 40 st. Cels. poniżej zera. Osada okrętowa urządziła sobie domek z lodu, przeniosła do niego kilka beczulek, dwa piece żelazne i kilka skrzyń żywności. W tym lodowym domku spędziliśmy czterdzieści tygodni, drząc z zimna, trzymając twarze przy rozpalonych piecach. Brody nasze jeżyły się sopłami lodu,

skorbut nam dokuczał, a jednak nie traciliśmy odwagi.

Nieraz już opisywano krajobrazy podbiegunowe, góry lodowe, lodowate płaszczyzny i wyspy z lodu. W tych strefach przez sześć miesięcy trwa dzień, potem następuje długa, straszna noc sześciomiesięczna. Niebo jest bezbarwne, wiatr unosi w powietrzu igielki szronu. Dokoła widać masy dzikich, ogołoconych skał, na których mech nawet nie rośnie. Z daleka masy te wyglądają nakształt kryształowych pałaców, często rozsypujących się w zwaliska, z hukiem strasliwym. Mgła gęsta ciemnym całunem pokrywa niekiedy ten obszar mieniający się ustawicznie, to znów znika nagle i odsłania fantastyczne, straszliwe przepaści.

W ciągu długiego dnia słońce oświeca lody blaskiem olśniewającym. Lodowe góry topnieją i kruszą się na tysiące odłamów, równiny pękają i dzielą się na wyspy. Pojedyncze bryły lodów uderzają o siebie z hukiem, którego odgłos jest przerażający. Wszędzie tu panuje zamęt, co chwila słychać gwałtowny łoskot lub szum ponury.

Potem zapada noc nieskończona. Wśród ciemności, osłaniających wszystko, wzrok dostrzega tylko snujące się widma niewyraźne. Straszna cisza i samotność tej nocy podbiegunowej osłabia energią najdzielniejszego podróżnika, a często wprawia go w jakieś odurzenie. Przy świetle dziennym uderzenie dwóch gór lodowych o siebie i wynikający ztąd łoskot nie wywiera na nim tak okropnego wrażenia. Póki słońce świeci, życie nie ustaje. Ale wśród ciemności ponura pustynia przypomina ów chaos biblijny, poprzedzający stworzenie świata. Głuche odgłosy ścinających się lodów przerażeniem przejmują słuchacza. U stóp swych dostrzega on niewyraźnie przepaści, których wzrokiem zmierzyć nie zdoła. A tu dokoła powstają nieprzebyte zapory, morze, ta jedyna dla niego droga ocalenia, zamyka się przed nim. Zimno ciągle się wzmaga...

Dziwaczne widziadła następują jedno po drugim, nieszczęśliwy czuje, że go obłęd ogarnia, leżąc mu zagraża, a wtém, jakby sen jakiś fantastyczny, ukazuje się przed oczyma jego krwawa północna zorza! Ciemne niebo rozjaśnia się nagle wielkim blaskiem, na tle tej jasności zarysowuje się łuk promienny, tryskający tysiącem snopów światła. Jest to wspaniały bukiet rac różnobarwnych, czerwonych, lazurowych, złocistych, fioletowych, które się wznoszą, opadają, ścigają, rozpryskują i spływają jedno z drugimi. Zjawisko błędnie stopniowo, w końcu ukazuje się już tylko przepyszny baldachin, jakby korona, jaśniejąca u szczytu widnokregu. Ale i te promienie błędą

zwołna, barwy znikają, rozplývają się, toną, zjawisko znika.

W pośród tej bezludnej pustyni, w obec takich obrazów, groźnych i fantastycznych, przebyliśmy całą zimę z r. 1880 do 1881. Kiedyniekiedy przed oczyma naszymi pojawiały się także inne zjawiska optyczne, dość częste w strefach podbiegunowych. Nieraz więc widywaliśmy na niebie podwójne słońca albo ośm na raz księżyców.

To znów pnie drzew kopalnych, niewiadomo jakim sposobem wydobyte z głębi ziemi, zapalały się od gwałtownego tarcia lodów. Słupy dymu, unoszące się wśród mgły, sprawiały wrażenie ludzkich koczowisk. Niekiedy ukazywały się z daleka złudne mamiłła wesołych wiosek z drzewami i zielonemi trawnikami. Majtkowie nasi puszczali się w drogę, lecz wkrótce napotykali ścianę lodową, a dalej spostrzegali tylko pustą lodową płaszczyznę i niezmierzone tonie oceanu, zasiane ruchomemi lodowemi górami.

Wkrótce zima na dobre się srożyć zaczęła. Termometr spadł na 52 st. niżej zera. Miejsce naszego pobytu pokrył śnieg na czternaście stóp grubości, mroźny wiatr unosił igielki szronu; dzień i noc musieliśmy podsycać ognisko nasze węglem i oliwą z fok, aby krew w żyłach nam nie skrzepła. Zabawialiśmy się mrożeniem rtęci i kuciem jęj na kawałki. Wódka nam zamarzała i wyglądała jak bryła topazu. Mięso, oliwę i chleb trzeba było rąbać siekierą. Jeden z naszych majtków zdjął raz rękawiczkę z prawej ręki, w przeciągu minuty ręka mu odmarzała. Chciał się uratować, zanurzając palce w ciepłej wodzie, ale woda natychmiast pokryła się skorupą lodową, a chirurg musiał odciąć rękę nieszczęśliwemu, który nazajutrz życie zakończył.

W połowie Stycznia do obozu naszego przywędrowała gromadka Eskimosów, prosząc o trochę wódki i suszonych ryb. Dziękowali nam ze łzami radości, gdyśmy ich obdarzyli temi upragnionemi zapasami i odrobiną tytoniu.

Nareszcie słońce zaczęło powoli rozpraszać ciemności tej strasznej zimy. Dnia 20 Maja wyszliśmy z naszego schronienia i odetchnęliśmy wiosennym powietrzem. Lisy niebieskie krążyły około naszego mieszkania i grzały sobie łapy przy naszym ognisku. Zabiliśmy ich kilka. Termometr doszedł do 10 stopni mrozu, uczeni nasi mogli rozpocząć na nowo swoje prace.

Wybraliśmy się w podróż sankami, dotarliśmy aż do 83 st. szerokości geograficznej, i odkryliśmy 35 mil od wyspy Disko bogaty pokład węgla i gliny zmieszanej ze szczątkami muszel i odciskami

nieznanych roślin kopalnych. Naliczyliśmy pomiędzy nimi przeszło sześćdziesiąt gatunków jawnokwiatowych drzew i krzewów, które niegdyś przed wiekami zdobić musiały te strefy dziś pozbawione wszelkiej roślinności. Liczne okazy osobliwych minerałów dopełniły tego zbioru. Świat uczony winien nam będzie ważne odkrycia, a jeśli nowa wyprawa, szczęśliwsza od nas, zdoła dotrzeć do celu, to jest do samego bieguna, nauka z bogactw się nieocenionemi skarbami.

Po szesnastu miesiącach cierpień, trudów i niebezpieczeństw, których żadne pióro opisać nie zdoła, wyprawa nasza dostała się nakoniec do wybrzeży Syberyi, gdzie oczekujemy dwóch zbłąkana-nych łodzi.

Zadanie konikowe.

A	na	mło	ty	zie	dy	po	ezy
dy	bra	mie	gi	la	znasz	je	kę
two	czy	w ja	cie	i	by	a	dy
kim	two	ki	do	ców	bi	na	two
znasz	je	oj	by	sta	po	pło	ju
jój	kra	rej	mni	tew	gro	dy	sły
wo	ty	i	ni	z cze	cie	na	ne
ju	zie	dy	bra	dur	bnj	go	mło

Łamigłówka kryształowa (N. G.).

1. Litera.
2. Nazwisko poety.
3. Nazwa kobiety.
4. Świątynia.
5.
6. Szkło sprzedawane u optyków.
7. Pokój przeznaczony do pracy.
8. Owad.
9. Litera.

Rząd środkowy i środkowe litery utworzą nazwisko pogańskiego władcy kraju cywilizowanego.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 6-go.

Krzyża z podstawą:

B
O
M A L T A
E
S
Ł
A
W
N I L
A N T O Ś
K A R A F K A

Zagadki:

Mus — sum.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Bohdusiowi Sz. w Trybuchach. Przepraszamy najmocniej, żeśmy się spóźnili z odpowiedzią na liścik, który nam wielką sprawił przyjemność, gdyż jest dowodem, że kochani nasi czytelnicy umieją ocenić trudy, dla ich pożytku podejmowane. My także nie zapomnieliśmy miłego gościa i serdecznie go powitamy, ile razy zawita do Warsaawy.

Ninie Sz. w Trybuchach. Prawdziwą niespodziankę nam sprawił liścik tak ładnie i starannie napisany. Odtąd zapewne często podobne odbierać będziemy, nie potrzebujemy dodawać, że siostrzyczka Bohdusia równie serdecznie przyjęta będzie, gdy do Warszawy przyjedzie, jak i braciszek.

Wiktusi S. w Kijowie. Wszystkie stałe korespondentki mają pierwsze prawa do naszej życzliwości. Dziękujemy bardzo za uprzejme wyrazy, mamy nadzieję, że piśmko nasze coraz więcej będzie zajmowało młodych czytelników, nie szczędzimy starań w tym celu.

Panienkom na pensyi w Słupcy. Przesyłkę otrzymaliśmy w całości. Podzielamy zmartwienie naszych korespondentek i bardzo prosimy o wiadomość, jaki będzie skutek zabiegów w tak pięknym celu podjętych. Żądane N-ra odsyłamy.

Karusi Gr. w Józków Rogu. Nie możemy wymagać, aby młodziutkie nasze czytelniczki nie zwracały się z czasem do Pism poważniejszych, pozostawiając *Wieczory* młodszemu pokoleniu. Przesyłanie Kroniki, której cena jest też sama, żadnego nam nie przyczyni kłopotu. Redakcyje obu pism chętnie korespondują z czytelnikami swymi i złatwiają z przyjemnością wszystkie ich zlecenia.

Edmundowi K. Żądany N-r. Pisma wysyłamy, Łamigłówkę chętnie zamieścimy, jeżeli będzie według reguł ułożona i starannie napisana.

Pani B. w Obodówce. Żądane Pismo zaprenumerowane.